

Różne oblicza miłości  
i kobieca przyjaźń wystawiona na próbę

# *Atlas* miłości

LAURIE FRANKEL



# Rozdział 1

Mając sześć lat, znalazłam w holu hotelu Waldorf-Astoria niemowlę. Owinięte w prześcieradło i ukryte w rosnącej w kącie istnej dżungli bujnych roślin doniczkowych, do której nie zajrzałyby nikt oprócz sześciolatka. Nie zwrócilibyście na nią uwagi, chyba że uwielbiacie film *Gdzie mieszkają dzikie stwory*, potraficie z miejsca rozpoznać pełen pnączy las, a wasza babcia jest tak pochłonięta meldowaniem się w recepcji, że w ogóle nie zwraca na was uwagi. Albo jesteście śmiertelnie przerażoną dwudziestoletnią recepcjonistką, która ukrywała przed światem ciążę, a zaledwie chwilę temu urodziła dziecko — podczas przerwy na lunch, w apartamencie na trzecim piętrze zamkniętym przez cały tydzień z powodu wymiany wykładziny. Wówczas doniczkowa dżungla mogłaby wam się wydać naprawdę interesująca.

Ukradkiem oddaliłam się od babci i dzielnie wkroczyłam do doniczkowego lasu w poszukiwaniu dzikich stworów.

Znalazłam tam masę kurzu, jednego pensa, którego schowałam do kieszeni na szczęście, dwie czekoladki Rolo, które zignorowałam, bo już jako sześciolatka wiedziałam, że nie należy jeść niczego z podłogi, i leżący pod kaladium wierzący się tobołek, który w pierwszej chwili wzięłam za Maxa w kostiumie wilka.

To oczywiste, że nie byłam w stanie tego zrozumieć, choć z drugiej strony rozumiałam, ponieważ przycupnęłam pod ścianą, przy której kończyła się dżungla, wzięłam dziewczynkę na kolana i próbowałam ją uspokoić. Jak urzeczona wpatrywałam się w oczy swojej nowej przyjaciółki, ignorując rozpaczliwe nawoływania babci i obcych ludzi przerażonych moim zniknięciem, wołających moje imię, zagląających do toalet, szukających mnie w sklepie z pamiątkami, na chodniku i w dziesiątkach innych miejsc, do których przypadkiem mogłaby zawędrować sześciolatka dziewczynka. Ostatecznie zostałam odnaleziona przez innego dzieciaka, który wtargnął do mojego lasu, wołając: „Znalazłem ją. Znalazłem ją. Ja ją znalazłem!”, jakby to było coś bohaterskiego.

Patrzyłam, jak ulga malująca się na twarzy babci ustępuje miejsca złości i zmieszaniu; zupełnie jakby próbowała ustalić, jak to możliwe, że jej sześciolatka wnuczka oddaliła się bez słowa i w ciągu pięciu minut urodziła dziecko. Kilka razy otwierała i zamykała usta, aż w końcu wydusiła:

— Janey, skarbie, powiedz, że nie ukradłaś czyjegoś dziecka.

Nieco później — na górze, w naszym idealnym pokoju z ogromnymi łózkami, wielkimi, miękkimi ręcznikami i oknami, za którymi lśniły miliony światła — po tym, jak uciekłyśmy przed medialną wrzawą, która rozpełtała się w holu, gdy śmiertelnie błada recepcjonistka uznała, że najwyższy czas powiedzieć prawdę, kiedy przebrałam się w piżamę — babcia przytuliła mnie i powiedziała, że jest ze mnie bardzo dumna.

— Nie jesteś zła? — spytałam.

— Może troszkę — przyznała. — Dlatego nigdy więcej nie oddalaj się bez słowa. Ale chcę, byś wiedziała, że jestem pod wrażeniem.

— Dlaczego?

— Bo patrzę na ciebie i widzę dziewczynę, którą będziesz, kiedy dorośniesz. I jest ona urocza.

— Dlaczego? — powtórzyłam.

— Dlatego że w całej tej przerażającej sytuacji zachowałeś się bardzo dzielnie. Nie wiedziałaś, co się stanie, jeśli ktoś cię znajdzie, więc siedziałaś cicho i pilnowałaś dziecka. Chociaż nigdy wcześniej nie opiekowałaś się dzieckiem i zdawałaś sobie sprawę, że mogę być zła. To było słodkie, mądre i odważne. Masz dobre serce — powiedziała mi wówczas babcia.

— Powinnyśmy wziąć ją do domu i pozwolić jej z nami zamieszkać — odparłam po chwili zastanowienia.

— Nie, kochanie. To jest czyjeś dziecko.

— Ale jeśli ona go nie chciała...?

— To nie twoje dziecko, skarbie. Za to jutro pójdziemy do sklepu z zabawkami i kupimy ci śliczną lalkę.

\* \* \*

Wiele lat później babcia upierała się, że wszystko zaczęło się tamtego dnia. Zazwyczaj ludzie doszukują się początku rozmaitych rzeczy w komórkach jajowych i plemnikach, ale prawda jest taka, że sięgają one do jeszcze dalszej przeszłości. Jill była przekonana, że wszystko się zaczęło, gdy Dan ocalił samorząd studencki. Katie doszukiwała się początku w ptysiach z bitą śmietaną. Jednak babcia twierdziła, że to miało swój początek dwadzieścia lat temu w holu hotelu Waldorf-Astoria. Niełatwo ustalić takie rzeczy, ale myślę, że zastanawianie się nad tym jest trochę przedwczesne. Ja uważam, że punktem zwrotnym był dzień, kiedy Jill stanęła przy półkach z krakersami. Wtedy wszystko się zaczęło. Rodzina to nie tylko więzy krwi, to przede wszystkim przeznaczenie. W tej kwestii nie mamy nic do powiedzenia.

## Rozdział 2

Poznałam Jill w sklepie spożywczym na dziale z krakersami w przeddzień rozpoczęcia zajęć na studiach doktoranckich, dzień przed tym, jak same zaczęłyśmy uczyć. Wierzyłam, że krakersy Trisket pomogą mi przetrwać pełną nerwów noc i doczekać do rana. Jill wrzucała do wózka kolejne opakowania słonych krakersów.

— Hej, to ty jesteś tą dziewczyną z zagranicy — zaczęła, pamiętając mnie z kursu wprowadzającego dla studentów pierwszego roku.

— Jestem z Vancouver — przyznałam.

— Kanada jest za granicą — odparła rozsądnie i całkiem słusznie. Mimo to czułam się tu jak w domu. Seattle to praktycznie Kanada.

— Dużo tego — zauważyłam, spoglądając na krakersy. Jak do tej pory rozmowa się nie kleiła.

Wzruszyła ramionami.

— Są tanie. Poza tym nie lubię tego sklepu.

— Więc postanowiłaś go ukarać, wykupując wszystkie krakersy?

— Kupuję tyle, ile mogę, żeby nie musiała tu wracać.

— Stracą świeżość.

— I tak smakują, jakby były nieświeże, więc to bez znaczenia — rzuciła Jill.

— A co z witaminami? — spytałam. Spojrzała na mnie tępym wzrokiem. — Witaminami. Substancjami odżywczymi. No wiesz... zdrowym jedzeniem.

— Co ty wiesz o zdrowym jedzeniu? — Zajrzała do mojego koszyka: na paczkę makaronu, opakowanie ryżu w torebkach i krakersy Trisket. — Nie sądzę, żeby paczka gumy do żucia dodała ci energii. — I miała rację.

— Jutro wybieram się na targowisko — powiedziałam, choć wcześniej zupełnie nie przyszło mi to do głowy. — Wpadłam tu po najpotrzebniejsze rzeczy.

— Nie jem warzyw, ale mogę pójść z tobą po zajęciach — powiedziała, jakbym ją o to poprosiła. — Może chodząc między straganami, przyswoję trochę witamin.

— Jestem Janey — przedstawiłam się zdumiona jej beczelnością, ale zadowolona, że, być może, właśnie zyskałam przyjaciółkę.

— Pamiętam — odparła. — Janey z Kanady.

\* \* \*

Nie od razu się zaprzyjaźniłyśmy. Zwykle siedziałyśmy razem na zajęciach, i to wszystko. Aż pewnego popołudnia, wychodząc z seminarium, spytałam:

— Chyba nie wracasz do domu, żeby jeść na obiad

krakersy?

— Czasami.

— Same krakersy?

— Albo kanapkę.

— Kanapkę z krakersami?

— Czasami. A ty, co jesz na obiad?

— Makaron. Albo ryż. Ale z warzywami.

— Gotujesz je?

— Podgrzewam w mikrofalówce. Ale to już coś. Może wpadniesz do mnie na obiad?

— Potrafię o siebie zadbać — odparła.

— Chyba jednak nie — rzuciłam. Była to najprawdziwsza prawda, choć wtedy jeszcze tego nie wiedziałam. Tego dnia zjadłyśmy razem obiad. Podgrzałam w mikrofalówce mrożone brokuły z sosem serowym i mrożony groszek w sosie maślanym, po czym wyłożyłam zawartość opakowań na talerze z ugotowanym makaronem. Penne w sosie serowo-maślanym, z groszkiem i brokułami. Obiad zawierał pewnie jakieś witaminy, choć jego smak pozostawiał wiele do życzenia.

— Obrzydliwe — skwitowała Jill.

— Lepsze niż słone krakersy.

— Nie jestem pewna.

\* \* \*

Ja również nie byłam pewna, uznałam więc, że lepiej będzie, jeśli nauczymy się gotować. W obliczu twardych argumentów Jill przyznała, że to niegłupi pomysł. W końcu co trudnego może być w gotowaniu? Książki kucharskie to



też książki, a przecież te były naszą specjalnością. Kupiłam kilka, przeczytałam je i w niedzielne popołudnie poszłyśmy na Pike Place Market. Jill zaproponowała, żebyśmy najpierw coś zjadły.

— Jesteśmy tu po to, żeby nauczyć się gotować — przypomniałam jej.

— Jesteśmy tu po to, żeby zrobić zakupy.

— W takim razie zaczynamy.

— Człowiek nie powinien kupować jedzenia, mając pusty żołądek — zauważyła niegłupio.

— Jedyne jedzenie, jakie kupowałaś do tej pory, to krakersy.

— Ale nigdy na głodnego.

Zaprowadziła mnie do maleńkiego baru przy jednej z bocznych uliczek. Obskurnego miejsca ze sfatygowaną tapetą, lepką od brudu podłogą, dwoma koślawymi stolikami i krzesłami nie do kompletu. Stojąca za ladą dziewczyna zuła gumę o intensywnym winogronowym zapachu i głąskała wielkiego i niezwykle łagodnego (albo cierpiącego na schizofrenię katatoniczną) owczarka niemieckiego.

— To chyba nie jest dobry pomysł — rzuciłam.

— Jedzenie jest tu pyszne — zapewniła Jill. — Moja mama uwielbia to miejsce.

— Tu jest brudno.

— Nie lubisz psów?

— Uwielbiam. Ale nie w jedzeniu.

— Ma rękawiczki.

— I głaszczce nimi psa.

— Najdroższe danie kosztuje pięć dolarów — powiedziała

poirytowana.

— Jestem gotowa zapłacić więcej za kanapkę bez psiej sierści — odparłam.

Ostatecznie zamówiliśmy latte. Po wyjściu z baru wałęsałyśmy się między straganami pełnymi owoców i warzyw, stoiskami rybnymi, budkami z serem, pieczywem i orzechami. Zajrzałyśmy nawet do sklepiku z winem. Czułyśmy się trochę nieswojo, ale i tak było miło. Zwłaszcza gdy sprzedawcy, widząc naszą listę zakupów, uśmiechali się i proponowali nam rozmaite rzeczy. Kiedy wróciłyśmy do domu, było już ciemno.

— Jestem zbyt zmęczona, żeby uczyć się gotować — oznajmiła Jill, teatralnie osuwając się na podłogę.

— Wypiłaś trzy kawy — przypominałam jej, ona jednak zdołała tylko dowlec się do kanapy i tam pozostała przez resztę wieczoru, ochoczo kosztując rozmaite wina i sery i próbując ustalić najlepsze kombinacje. Tymczasem ja przygotowałam najbardziej czasochłonny posiłek w historii ludzkości. Pół godziny kroiłam trzy marchewki i brokuł. Przez kolejną godzinę przeglądałam Google w poszukiwaniu najlepszego sposobu na pieczenie ryb. Dwie i pół godziny trzymałam w piekarniku ziemniaki, które i tak okazały się niedopieczone, bo nastawiłam go na sto osiemdziesiąt stopni i w tym samym czasie próbowałam upiec ciasteczka (też były na wpół surowe, ale to i tak lepsze niż przypalone). Kiedy skończyłyśmy kolację, było już dobrze po północy. Nie wyobrażałam sobie, że bym mogła robić coś takiego raz w miesiącu, nie mówiąc o tym, że miałabym gotować codziennie.

— Krakersy są lepsze — skwitowała Jill.

— Jesteś zbyt pijana, żeby mieć w tej sprawie coś do powiedzenia — odparłam.

— Racja. — Zachichotała. — Wyobraź sobie, o ile gorsza byłaby ta kolacja, gdybym ci pomagała.

\* \* \*

Do Święta Dziękczynienia mniej więcej wiedziałam już, co należy robić z owocami morza i warzywami, jednak potrawy mięsne nadal pozostawały dla mnie tajemnicą. Mimowolnie odwracałam głowę, sięgając do dziury wyciętej w indyku (zrobionej po tym, jak biednemu ptakowi odcięto głowę), wyciągając wnętrzności i zastępując je okruchami chleba. Zaproponowałam więc, żebyśmy zostały wegetariankami. Przygotowałyśmy zatem świąteczny obiad bez indyka. Trudno go było jednak nazwać ucztą. Przygotowałam placki ziemniaczane *latkes* (niebawem zbliżała się Chanuka), domowej roboty sos jabłkowy („Po co kupować gotowy, kiedy można utrudnić sobie życie?” — pytała babcia w e-mailu, w którym podała mi rewelacyjny przepis swojej mamy), duszone przegrzebki („Bardzo wegetariańskie” — skwitowała Jill), pieczone buraki, a na deser miniaturowe ptyśkie z różnymi farszami. Zapaliłyśmy świece i podziękowałyśmy za to, że dotrwałyśmy do świąt, przeżyłyśmy pierwszy semestr i prawie dojrzałyśmy do końca roku. Podziękowałyśmy za cuda, które wydarzyły się w tym czasie — za to, że nauczyłyśmy się gotować, radzić sobie ze studiami i za to, że co wieczór nie musiałyśmy jeść ryżu gotowanego w torebkach oraz mrożonego szpinaku w

sosie śmietanowym. Za przyjaźń.

\* \* \*

Człowiek nie ukończy studiów magisterskich, nie mając sojuszników. To jak wojna albo międzynarodowa dyplomacja, albo gimnazjum — życie w ciągłym niebezpieczeństwie, nie do wytrzymania bez wsparcia innych. Moim wsparciem była Jill. I tak jak na wojnie, w międzynarodowej dyplomacji czy gimnazjum, studia magisterskie pełne są wrogów. Każdy tu ma swojego zacieklego wroga. Naszym była Katie Cooke. Wiecznie wystrojona i wymalowana, w trakcie seminarium robiła na drutach, notowała, używając kolorowych długopisów, i nosiła okulary do czytania na sznurkach, które zawsze pasowały do jej ubrań. Siedziała pośrodku pierwszego rzędu — jeśli krzesła ustawione były w rzędach — lub zaraz obok wykładowcy, kiedy siedzieliśmy wokół stołu. Zgłaszała się do odpowiedzi na każde pytanie. Była miłośniczką epoki wiktoriańskiej i mormonką. Wieczorami siedzieliśmy przy piwie i śmiałyśmy się z niej. To był nasz sposób na rozładowanie stresu.

W poniedziałek po Świącie Dziękczynienia zostało nam mnóstwo jedzenia, więc resztę ptysiów przyniosłyśmy na seminarium. Wszyscy byli pod wielkim wrażeniem, że zrobiłam je sama, nawet Katie. Po zajęciach podeszła do nas.

— Te ptysie były niezmiernie — zachwycała się. — Musisz naprawdę świetnie gotować.

— Uczę się — odparłam wymijająco. — Powoli.

— Nie, naprawdę były dobre. I zdrowe. Są malutkie, więc

można zjeść ich całe mnóstwo i nic się nie stanie.

— Słuszna uwaga — odparłam, zastanawiając się, czy Katie jest równie głupia, co denerwująca.

— Studenci nie gotują — dodała Katie.

— Jasne — bąknęłam.

Nagle chwyciła mnie za ramię.

— Musisz mnie nauczyć — szepnęła.

— Słucham?

— Musisz mnie nauczyć. Nie umiem gotować, a powinnam się nauczyć. W końcu nazywam się Cooke\*.

— Naprawdę nie umiesz gotować? — spytała z niedowierzaniem Jill. — Jesteś idealną panią domu. W czasie zajęć robisz na drutach. Nosisz kostiumy.

Katie wzruszyła ramionami.

— Tak, ale gotować nie umiem.

Zaskoczyło nas, że nie potrafiła gotować i że w ogóle z nami rozmawia. Katie często zaskakuje. Podkrada się do ciebie w taki sposób, jaki nigdy nie przyszedłby ci do głowy. Wtedy jednak nie miałam o tym pojęcia.

Chciałam powiedzieć, że ja też nie umiem gotować. Że dopiero zaczynam. Wy tłumaczyć, że to nie najlepszy czas, że mam za dużo nauki. Może kiedy indziej. Chciałam powiedzieć, że tak naprawdę w ogóle jej nie lubimy. Tymczasem spanikowałam i odparłam:

— Gotuję w niedziele. Pomaga mi Jill. To ona próbuje potraw i ocenia ich smak. Możesz do nas dołączyć.

Jill posłała mi wściekłe spojrzenie.

---

\* Cook (ang.) — kucharz, gotować.

— Co najmniej do południa jestem w kościele — przyznała Katie.

— W porządku — rzuciłam.

— Ale mogę przyjść później. Kupujecie coś?

— Słucham?

— Pytałam, czy coś kupujecie? Ja nie mogę kupować niczego w niedzielę. Ale inni mogą dla mnie gotować. Pod warunkiem że im nie płacę.

— Dzięki — rzuciła Jill.

— Myślę, że mogłabyś przyjść po zakupach, ale przed gotowaniem — zaproponowałam.

— Jestem taka podekscytowana — pisnęła Katie, klaszcząc w dłonie.

Tak oto do nas dołączyła.

\* \* \*

Tamtej niedzieli upiekłam na grillu pizzerinki i zimowe warzywa. Jill siedziała na kanapie, piła wino i przesłuchiwała Katie.

— A zatem... jesteś miłośniczką epoki wiktoriańskiej. To trochę sztywniackie — skwitowała.

— Ale wcale nie pruderyjne — powiedziała Katie. — Raczej uporządkowane, powściągliwe i dostojne. A do tego pełne sprzeczności.

— Dlatego jesteś mormonką? — dopytywała się Jill.

— Z powodu sprzeczności?

— To też. I pruderyjności.

— Moja rodzina ze strony ojca to mormoni od pięciu pokoleń — odparła Katie. — Jeśli chcesz, mogę ci o tym

opowiedzieć.

— Nie, dziękuję — odparła Jill. — Wystarczy, że brak kawy działa na mnie usypiająco. A tak przy okazji, co jest nie tak z kawą?

— Krótko i zwięźle? — spytała Katie. — Kawa uzależnia.

— Wino też.

— Dlatego nie pijemy alkoholu.

— Nawet wina? — rzuciła przerażona Jill.

— Nawet wina.

— Ale w Biblii pełno jest wina. Czytałaś w ogóle Biblię?

— Krótko i zwięźle? — powtórzyła Katie. — Coś ci wyjaśnię. To ważne, by ludzie nieustannie się kontrolowali. Ważne i trudne. Wino raczej w tym nie pomaga.

Jill przewróciła oczami.

— Dlaczego tak ci zależy, żeby nauczyć się gotować?

— Jako żona będę musiała to robić — odparła Katie.

— Jesteś zaręczona?

— Nie.

— Spotykasz się z kimś na poważnie?

— Nie.

— Masz przeczucia co do jakiegoś faceta, którego niedawno poznałaś? Podkochujesz się w przyjacielu? Rodzice zaplanowali dla ciebie małżeństwo?

— Cierpliwie czekam — powiedziała Katie. — Ale wolę się przygotować.

\* \* \*

— Na swój sposób nawet ją polubiłam — przyznałam ponuro, kiedy Katie wyszła.

— Jest taka dziwna — bąknęła Jill. — Powiedziała, że chce się nauczyć gotować, a w ogóle nie zwracała uwagi na to, co robisz.

— Ty też — wypomniałam jej.

— Tak, ale ja wcale nie chciałam uczyć się gotować. Chciałam, żebyś to ty nauczyła się gotować dla mnie.

W kolejną niedzielę Jill i ja kupowałyśmy jedzenie, podczas gdy Katie wlokła się z tyłu, bo uznała, że skoro nie może za nic płacić, to przynajmniej sobie popatrzy. Muszę przyznać, że stawała się naprawdę droгим wrogiem. Gdy w końcu wróciliśmy do domu, ja zabrałam się do gotowania, podczas gdy one dwie rozmawiały w salonie. Katie najwyraźniej doszła do wniosku, że towarzyskie pogaduszki są dużo fajniejsze od nauki gotowania. Mimo ataków ze strony Jill pozostawała sobą. I nie chciała się od nas odczepić. Co mogliśmy zrobić? Miałyśmy jednego zacieklego wroga mniej. Prawdę mówiąc, w ogóle nie miałyśmy wrogów.

\* \* \*

Później, znacznie później on — podobnie jak moja babcia — będzie się zastanawiał, jak to się wszystko zaczęło. Kiedy pozna nas dobrze, będzie zachodził w głowę, jak to możliwe, że tak różne osoby stały się sobie tak bliskie. Wtedy wrócę wspomnieniami do hotelu Waldorf-Astoria i opowiem mu pewną historię. Bo właśnie tam, w hotelu Waldorf-Astoria, rozpoczęła się jego historia; gdzieś między dzikimi stworami i ptysiami z bitą śmietaną narodziła się przyjaźń. Na długo przed komórkami jajowymi i plemnikami. Powiem mu, że na początku była cudowna, piękna, oślepiająco jasna,



żenująco ślepa, niewysłowiona wiara.

## Rozdział 3

T.S. Eliot musiał być na studiach podyplomowych, kiedy uznał, że kwiecień jest najbardziej okrutnym miesiącem roku. W kwietniu miałam do napisania dwie dwudziestopięciostronicowe prace, do przeczytania mniej więcej tuzin książek (niezbyt ciekawych, bo traktujących o krytyce literackiej) i musiałam ocenić pięćdziesiąt prac naukowych na zajęcia ze wstępu do kompozycji, przy czym każdej mogłam poświęcić około czterdziestu pięciu minut. Wszystko przez to, że prawie cztery lata po spotkaniu przy półce z krakersami i rozpoczęciu studiów doktoranckich, mimo iż wiedziałam, czym się zajmuję, nadal nie miałam pojęcia, jak sobie z tym poradzić. Uczylałam na Uniwersytecie Rainier — instytucji, która z pewnością znalazłaby się na liście prestiżowych uczelni, gdyby taka lista powstała — i zarabiałam na życie (skromne), czytając i rozmyślając o literaturze, ale mimo długich godzin, które spędzałam, przygotowując zajęcia, spotykając się ze studentami i bez

końca oceniając ich prace, nie miałam etatu wykładowcy. Profesorowie zatrudnieni na tej samej uczelni prowadzą — tak jak ja — dwa kursy na semestr i dostają pieniądze za to, że czytają książki, a później o nich piszą. Dzieli nas jednak dwie istotne różnice. Po pierwsze, ich pensje są na tyle wysokie, że zapewniają im godne życie. Czasami mogą nawet pozwolić sobie na obiad w ekskluzywnej restauracji. Po drugie, choć z zawodu są nauczycielami, ich priorytetem są badania, nie sale wykładowe. Niektórzy z nich nawet nie lubią uczyć. Niektórzy są tak starzy, że zapomnieli, jak to się robi. W przeciwieństwie do nich, ja nigdy nie chodzę do eleganckich restauracji. Ale naprawdę przejmuję się tym, co robię.

Moi studenci to wyczuwają. Oprócz zajęć z angielskiego większość pierwszego roku spędzają w ogromnych salach wykładowych w otoczeniu trzystu innych osób, słuchając wykładów i skrupulatnie notując każde słowo. Gdy dopada ich kryzys — spowodowany głównie tym, że mają osiemnaście lat, mieszkają z dala od domu w akademiku, w towarzystwie pięciuset innych osiemnastolatków, którzy po raz pierwszy wyrwali się z domu — przychodzą więc do mnie. W czasie dyżurów rzadko sprawdzam brudnopisy prac, za to znacznie częściej mam do czynienia ze studentami, którzy przechodzą kryzys.

Na przykład w dniu, od którego zacznę snuć tę opowieść, który w pewnym sensie dał jej początek, Isabel Rallings siedziała w moim gabinecie cała we łzach. Między jej kolejnymi pociągnięciami nosem zrozumiałam, że przestał do niej dzwonić chłopak (to typowe), nie odwiedził jej od

kilku tygodni, mimo iż obiecał (to również typowe), nie wydawał się przesadnie szczęśliwy, kiedy do niego dzwoniła (typowe). Jakby tego było mało, Isabel podejrzewała, że jest w ciąży (niezbyt typowe, choć i takie rzeczy się zdarzają; średnio dwie dziewczyny na semestr obawiają się, że są w ciąży). Względnie łatwy temat, może nie dla Isabel, ale dla mnie na pewno. Miałam wprawę. Rozmawiałyśmy o znaczeniu komunikacji i o tym, jak cykle miesięczkowe zostają zaburzone w trakcie semestru. Ostatecznie doszłyśmy do wniosku, że testy ciążowe kosztują piętnaście dolców, co dla studenta (dla mnie zresztą też) jest prawdziwą fortuną, którą jednak warto wydać dla świętego spokoju. Na koniec wręczyłam Isabel paczkę chusteczek higienicznych, pocieszyłam ją i niemal wypchnęłam z gabinetu.

— Następny. — Mówiąc to, uśmiechnęła się przez łzy do Jamesa Rainsa, który siedział pod ścianą na korytarzu i w milczeniu czekał na swoją kolej.

Chłopak — na wpół zawstydzony, na wpół uśmiechnięty — wślizgnął się chyłkiem do gabinetu. Był trzeci w tym tygodniu. Wiedziałam, czego chce, jeszcze zanim otworzył usta.

— Na pewno — zaczął — pomyśli pani, że to zabawne.

Z całą pewnością byłam już rozbawiona, choć wątpiałam, czy to właśnie miał na myśli. Uśmiechał się, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od podłogi.

— Wczoraj wieczorem wyszedłem z kumplami, ale wróciłem do domu wcześniej, żeby napisać pracę, i wtedy przyszli moi współlokatorzy. Kompletnie pijani. Skończyłem pisać, ale jeden z nich przypadkiem usiadł na moim

komputerze i wszystko straciłem.

Drażniłam się z nim przez chwilę, by nie sądził, że uda mu się wcisnąć mi ten kit, ostatecznie jednak dałam mu dodatkowy dzień na oddanie pracy. W końcu i tak nie ocenię wszystkich w ciągu jednej nocy. Poza tym było mi go żal. Jeśli mówił prawdę, historia rzeczywiście była smutna. Wyobraźcie sobie, że wkładacie w coś wiele pracy — rezygnujecie nawet z imprezy — i wszystko tracicie. Nawet jeśli kłamał, i tak było mi go żal, że nie wymyślił lepszej wymówki i musiał uciec się do czegoś tak żenującego.

Pod koniec każdego semestru przed drzwiami mojego gabinetu ustawiały się kolejki ludzi pokroju Jamesa Rainsa, którzy prosili o przedłużenie terminu oddawania prac. Dziewczyny wymyślały smutniejsze i znacznie bardziej skomplikowane wymówki (chora współlokatorka, płaczące młodsze siostry, związek, który się rozpadł), podczas gdy faceci raczyli mnie opowieściami o problemach technicznych (zgubionych pendrive'ach, zepsutych laptopach, piwie rozlanym na klawiaturę — znam niezliczone wersje tych historii). Nie chodzi o to, że ich wymówki są mniej prawdopodobne — tego z całą pewnością nie da się ustalić. Nie mówię też, że faceci nie przeżywają kryzysów emocjonalnych; po prostu znacznie rzadziej o nich mówią. Te wymówki drażnią moich kolegów, ale mnie nie przeszkadzają aż tak bardzo. Powinam być bardziej czujna.

Niestety, nie jestem. Pod koniec semestru nie potrafię nawet unieść wszystkich prac, które mam do sprawdzenia, nie mówiąc o książkach, które muszę przeczytać. W takie popołudnie jak tamto, kiedy miałam chwilę wolnego czasu,

trzeba było pójść do domu i zagłębić się w lekturze. Przede wszystkim jednak odwołać konsultacje. Nie powinnam w ogóle wychodzić z domu, tyle miałam czytania. Trudno jest przebrnąć przez studia podyplomowe, zajmując się cudzymi pracami. Żeby to znieść, należy robić sobie przerwy. Przynajmniej tak sobie tłumaczyłam. W czwartki, po zajęciach i konsultacjach, chodziłam na drinka.

„Drink” to może za dużo powiedziane. Zwykle nie stać nas było na drinki. Na środki uspokajające też nie mogłyśmy sobie pozwolić. Nie miałam jednak ochoty wracać do domu i kłaść się do łóżka o przyzwoitej porze. Nigdy już tego nie nadrobię. Jill lubi popijać piwo i kawę, wierząc, że wzajemnie się równoważą. Katie je ciastka. Ale w Seattle nawet mormoni — pomimo dziwnych religijnych zasad — chodzą do barów kawowych. Nasz znajduje się z dala od miasteczka uniwersyteckiego, dzięki czemu nie ryzykujemy, że wpadniemy na któregoś ze studentów albo — co gorsza — profesorów. W większości barów kawowych panuje chłód, częściowo dlatego, że trudno tu zabezpieczyć budynki przed deszczem i chłodem, lecz przede wszystkim po to, by zmusić klientów do kupowania większej ilości gorących napojów. Mimo to w Joe Bar jest ciepło, a panujący wewnątrz mrok daje wrażenie intymności. Stojące na zewnątrz stoliki czekają na piękną słoneczną pogodę. Kwiecień w Seattle niewiele ma wspólnego z prawdziwą wiosną, ale przynajmniej przestało padać. Kiedy dotarłam na miejsce, Katie i Jill siedziały przy barze, dzielnie stawiając czoło zimnu. Jadły kanapkę z sałatką z jajek i dyskutowały o jajkach. Kiedy usiadłam, Jill mówiła właśnie:

— To tak, jakbyśmy jadły martwe kurczątko.

— Wcale nie — upierała się Katie. — Jajka, które jemy, nie są zapłodnione.

— Kury uprawiają seks, a później składają jaja.

— Nieprawda.

— Oczywiście, że tak.

— Nie. Z kurami jest jak z rybami. Składają jaja, a później przychodzi kogut i je zapładnia. Albo, jak w tym przypadku, farmer zbiera je, zanim zostaną zapłodnione. Dlatego wcale nie jemy martwych kurczaczków.

— Jak on to robi?

— Po prostu wybiera je z kurnika.

— Nie mówię o farmerze. Pytam o koguta — sprostowała Jill. — Jak może zapładniać jajko, które już zostało zniesione? Chcesz powiedzieć, że na końcu penisa ma małe wiertełko?

— Nie wiem — przyznała Katie. — Może świeżo zniesione jaja są miękkie i twardnieją, dopiero kiedy je zapłodni?

— Nie mogą być miękkie, bo wtedy do środka dostałoby się siano i odchody. Skorupka jest po to, żeby chronić kurczątko.

— Chyba masz rację — odparła Katie. Wydawała się zrezygnowana jak ktoś, kto nie potrafi znaleźć rozsądnego kontrargumentu.

To tłumaczy, dlaczego nie jem jajek, dopóki nie przypominają jakiejś potrawy. Jajeczniczy, quiche’a albo ciasta. Jajka jako jajka po prostu mnie nie interesują. To również tłumaczy, dlaczego nie robimy studiów podyplomowych z biologii.

— Skąd w ogóle cała ta rozmowa o reprodukcji kurczaków? — spytałam, jakby rzeczywiście istniało jakieś satysfakcjonujące wytłumaczenie.

— Katie uważa, że to romantyczne, że kurczaki łączą się w pary na całe życie — wyjaśniła Jill.

— Gęsi, nie kurczaki — odparłam.

— Może łabędzie — rzuciła Katie. — Albo żurawie.

— A tak w ogóle, dlaczego rozmawiacie o zwierzętach, które łączą się w pary na całe życie? — Postanowiłam spróbować przejść do rzeczy.

— Myślałam o tym przy okazji pracy na temat *Wielkich nadziei* — odparła Katie, jakby to wszystko tłumaczyło.

— Jak tam konsultacje? — spytała Jill. — Nie mogę uwierzyć, że nadal je masz. Zajęcia się skończyły. Przyszedł czas na czytanie.

— Jak mają mi powiedzieć, że oddadzą prace w późniejszym terminie, jeśli nie przyjadę na konsultacje? Nie było tak źle. Jeden zgnieciony komputer, jedna zgubiona praca, jeden brudnopis do przejrzenia i jeden lęk przed niechcianą ciążą.

— Dwa — mruknęła Jill z ustami pełnymi sałatki.

— Dwa co?

— Dwa przypadki lęku przed niechcianą ciążą — odparła.

— Jeden. — Mówiąc „jeden”, miałam na myśli Isabel.

— Ja też — rzuciła Jill. A ponieważ patrzyłyśmy na nią w kompletnym osłupieniu, dodała: — Myślę, że jestem w ciąży.

Katie zbladła. Naturalnie wiedziała, że tak właśnie kończy się seks przedmałżeński, jednak była to dla niej ogromna



tragedia. W ciągu kilku sekund po wyznaniu Jill Katie wyobraziła sobie, jak przyjaciółka, żyjąc w nędzy, błąka się zasypanymi śniegiem ulicami Londynu w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, z płaczącym, niedożywionym niemowlęciem zawiniętym w potargany brudny szal, jak szuka mężczyzn, którym mogłaby się oddać w zamian za kromkę chleba. Oto, w jaki sposób myślą miłośnicy epoki wiktoriańskiej. Jako miłośniczka Szekspira przyjąłem tę wiadomość nieco lepiej, choć natychmiast pomyślałem o rozmaitych programach telewizyjnych uczących, jak uniknąć takiej sytuacji.

— Dlaczego tak sądzisz? — spytałam.

— Spóźnia mi się okres — odparła Jill.

— Może to przez kwietniowy stres? — rzuciła z nadzieją Katie.

— I nie byliśmy przesadnie... ostrożni — przyznała Jill.

— Może jednak... — Katie nie dawała za wygraną.

— I oglądałam swoją szyjkę macicy. Jest niebieska.

Westchnęłam i przewróciłam oczami. Chyba w tej sytuacji nie powinnam okazywać zdenerwowania, ale nie mogłam się powstrzymać. Bez względu na to, jak niewiele Jill wiedziała na temat reprodukcji kurczaków, trzymała swoje życie seksualne pod ścisłą kontrolą. Myślała, że wie, kiedy ma owulację i tym podobne, więc nie używała środków antykoncepcyjnych, gdy wydawało się jej, że nie musi. Co najwyraźniej nie zawsze się sprawdza.

W rozmowach takich jak ta człowiek nie wie, co właściwie powinien powiedzieć. Katie skupiła się na oddychaniu, podczas gdy ja postanowiłam zrobić coś bardziej

praktycznego.

— Co zrobisz? — spytałam. — Powiedziałaś Danowi?

— Nie wiem — odparła Jill. Spośród nas trzech ona jedna wyglądała na najmniej przerażoną. — Jeszcze z nim nie rozmawiałam. Jesteście pierwsze.

To by było na tyle, jeśli chodzi o czwartkowe drinki.